



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

Z słonecznych błysków.

Smieszny ja jestem: wzdycham, jęczę, płaczę,
Gdy Cię nie widzę i gdy Cię zobaczę.
Tęsknię za Tobą, choć siedzisz tak zbliska,
Gdy Ciebie niema, obraz mi twój błyska,
Gdy na mnie patrzysz, ja odwracam oczy,
A cień Twój za mną nieustannie kroczy!
Gdys Ty daleko, ja chcę się spowiadać
Ze swoich uczuć, słowom urok nadać,
Odziać w purpurę, ubrać w wonne kwiaty,
I w nadpowietrzne unieść Ciebie świąty.
Znów Cię ujrzałem i znów pełen trwogi
Staję i milczę, jak żebrak ubogi!
Zkąd te w umyśle moim niepogody?...
Bom ja za młody, dziewczyno za młody!

Stanę przed Tobą i zawołam śmiało:
„Ja Cię czekałem niemal wieczność całą,
„Ja Cię zdobyłem moją pracą krwawą,
„Pójdź w me objęcia, mam do tego prawo!”

I pójdiesz ze mną w snów moich przestworze,
A ja Ci szczęścia niebo całe stworzę!

O tak, zwyciężę wszelakie przeszkody,
Bo jestem młody, dziewczyno, bom młody!

Zygmunt R.

Miserere Gregoria Allegri.

Obrazek na tle historycznem.

Noc ciemna zapanowała nad grodem świata,
mieszkańcy Rzymu nie byli jednak pogrążeni
we śnie, lecz w modlitwie kornej u grobu Chry-
stusa.

Świątynie Pańskie gorzały światłem, a tłumy
ludu roły się po ulicach, przechodząc z jednej
do drugiej.

Tydzień Wielki przed wielką Tajemnicą Zmar-
twychwstania tak obfity w rozliczne obrzędy
i ceremonje sprowadzał zwykle do Stolicy Apo-
stolskiej tysiące pobożnych z różnych stron świa-
ta. Kapłani wysilali się na wspaniałe ozdoby,
kunsztowne dekoracje kaplicy, w której na wi-
dok publiczny Święta Eucharystya wystawiona
była.

W kościele Świętego Piotra, w tym olbrzymim
przybytku świata chrześcijańskiego, ciśniono się
najbardziej, by usłyszeć budujące kazania pasye
i nauki z życia Zbawiciela.

Nadszedł Wielki Piątek, najwięcej bolesna
i wzruszająca rocznica religijna, dzwony umilkły,
smętny odgłos klekrotek, żalose tony śpiewu
i muzyki rozlegały się w wspaniałych przestwo-
rach Świątyni.

Dostać się do kaplicy Syxtyńskiej było w da-
nej chwili szczytem pragnienia uprzywilejowa-
nych. W tej kaplicy zbudowanej przez Syxtusa
18 (1474), w której niejedyn genjusz uniesmiertel-
nił się arcydziełem mają śpiewać Miserere
kompozycey Gregoria Allegri w obec Jego Świę-
tobliwości i wszystkich członków Świętego Kole-
gium, dzieło to sławne w historii muzyki, to
wielkie Miserere ułożone na dwa chóry z dziewię-
ciu głosów, wykonane z możliwą na ów czas do-
kładnością. Odbijając swe tony o wzniosłe skle-
pienia, genialne utwory takich mistrzów jak
Gerlandajo, Perugini, Rafael i Michał Anioł
wprawiały w zachwyt, wznosiły ducha w lepsze,
nieznane światy.

Tylko prawdziwy talent, ta iskra Boża może
mieć tę cudowną własność, może wzbudzić zapal
i natchnienie.

Gdy ostatniedźwięki przebrzmiały, zachwyceni,
zbudowani słuchacze z uniesieniem głosili sławę
kompozytora, a imię jego z ust do ust przechodziło.
Lecz gdzież jest i co robi sam mistrz Gregorio
Allegri, jeden z członków chóru Świętego Kole-
gium ów skromny cichy i pobożny kapłan? on
nie pragnie pochwał i zaszczytów, nie marzy
o żadnem wyniesieniu, ale pracuje w małej ubo-
giej celi i dowodzi czynem i życiem że najwyż-
szą zasługą człowieka jest cnota, najchlubniejszą
praca w duchu prawdy i miłości bliźniego; on
i w tej chwili nie zaniedbał miłosiernych uczyn-
ków, bo znakomity muzyk z rodu Coregiów,
uczeń Naniniego, twórca wielu dzieł religijnych

nie tylko ukochał sztukę, ale na wzór tego Pana któremu służył ukochał cierpiącą ludzkość nad wszystko. Po uroczystym wykonaniu Miserere, chroniąc się przed pochwałami, biegnie do zwykłego celu swych codziennych wycieczek, spieszy do swych ukochanych braci, a temi są nieszczęśliwi jęczący w lochach i więzieniach Grodu Przedwiecznego i niesie im pomoc i pociechę. Idźmy za nim do jednej z ciemnych izdebek w której oddawna pędzi nędzny żywot Piotr Rameti, a pomimo przypuszczalnej winy nieszczęśliwego serce nasze żywym zabije współczuciem. Słabe światło przebija przez małe zakratowane okienko, by ukazać wilgotne ściany, lichy tapczan i wychudłe znędźniałe oblicze winowajcy. Piotr Rameti nie ma jeszcze lat pięćdziesiąt, a włos jego prawie biały, broda długa w zaniedbaniu, zapadłe oczy błędnym wzrokiem jakby czegoś szukają, zapadłe policzki dowodzą: że choroba nudów i zwątpienia otwiera mu zwolna drzwi grobu.

A jednak przypatrzmy mu się bliżej: to niezwykajny zbrodniarz z profesji, straszna rozpacz i zwątpienie przebija się w jego regularnych i zboliałych rysach. Za coż tak długa i ciężka kara? dla czego ten nieszczęśliwy szczególną wzbudza troskliwość i sympatyę swego protektora i opiekuna? Piotr Rameti pokutuje za ciężką winę i tylko wielkie starania i względy uchroniły go od kary śmierci.

Rodzina jego była znaną z uczciwości i szanowaną w Rzymie; to też gdy po najwyższym wyroku żona i dzieci padły do nóg papieża (Pawła V) Jego Świętobliwość karę śmierci na dożywotnie więzienie zamienił.

Piotr Rameti niezwykłych zdolności i zamiłowania nauki, nie tylko nader wcześniej obeznał się z znakomitemi utworami starożytnych klasyków, ale zgłębiał wszystkie jej krańce fizjologiczne i przyrodzone kwestye były szczególnie celem jego badań, a studyjąc medycynę pomiędzy doktorami, niepospolite zajmował miejsce głęboki teoretyk i biegły erudyt zdobył wiedzę, ale korzyści materyjalnej ciągnąć z niej nie umiał, zmysłu praktycznego nie posiadał.

W dwudziestym ósmym roku życia, idąc za popędem serca, poślubił daleką kuzynkę piękną Julię niepospolitych przymiotów duszy i serca. Czworo dzieci było owocem tego serdecznego związku, ale fortuna niestety skąpo ich obdarzała swymi darami i zaczęły się dnie niepokoju i trwogi. Julia obok skromnego mienia wniosła w dom męża zamiłowanie pracy porządku i oszczędności i te wszystkie cnoty i przymioty, które kobietę czynią kapłanką domowego ogniska, a w razie potrzeby bohaterką zaparcia się siebie samej i poświęcenia bez granic.

A jednak niepewność jutra, następnie niedostatek, po za nim nędza jak złowieszcze widmo przerażające najodważniejszych, a słabszym zle często rady podając, krażyła nad domem Pietra, a on dnie i noce spędzał nad książkami, wydierał tajemnice naturze, robił doświadczenia pochłaniające resztki jego mienia, sława jego rozchodziła się, uczeni zaciągali rad jego, a żonie i dzieciom na koniecznych potrzebach zbywało. Szlachetna Julia, z której ust nie wyszła skarga, podwoiła gorliwość, dokonywała cudów prawie, by dzieciom dostarczyć chleba łzami często zroszonego, ale Julia kochała z uwielbieniem wierzyła i czekała cierpliwie.

Gdy niedostatek coraz więcej uczuć się dawał nieszczęśliwej rodzinie, zaszedł wypadek ważnej doniosłości. Rameti miał bogatego krewnego, z którym nie łączyły go prawie żadne stosunki. Bogaty kupiec w Pizie którego okręty rozwioły towary od morza do morza nie interesował się wcale swym biednym choć uczonym kuzynem, pokrewieństwa duchowego między niemi nie było.

Stary kupiec ciężko zapadł; choroba z każdym dniem przybierała groźniejszy charakter, a doktorzy miejscowi uznali ją za nieuleczalną. Pewnego dnia, gdy Piotr Rameti siedział jak zwykle w swym gabinecie oddany uporcezywej pracy, jakiś jeździec zatrzymał się przed progiem domu, a pukając zapytał: „Czy tutaj doktor Rameti?“ Tutaj—odpowiedział głos kobiety, Julia

pospieszyła otworzyć. Jeździec zsiadł z konia, przywiązał go do żelaznej obok sztachety i wszedł do mieszkania.

— Czemu możemy służyć?—zapytała Julia zdziwiona widokiem nieznajomego jakby z dalekiej przybyłego drogi.

— Przyjeżdżam wielkim galopem z Pizy do sławnego doktora Rameti od jego krewnego bogatego kupca Agutorio, którego zdrowiu grozi wielkie niebezpieczeństwo, a doktorzy miejscowi nie poradzić nie mogą.

Posłaniec wprowadzony do gabinetu doktora oświadczył powtórnie cel swej podróży, dodając, mam rozkaz w imieniu mego pana obiecać za wyleczenie nagrodę książęcą, jeżeli zatem chcesz wielki doktorze pospieszyć, dwa świeże konie natychmiast przyprowadzę i puścimy się w drogę.

Doktor Rameti wobec nagłych okoliczności i smutnego położenia rodziny nie namyślał się długo i w godzinę dwóch jeźdźców pospiesznie dażyło ku Pizie.

Nie było chwili do stracenia i Rameti czuł całą ważność swej misji.

Stary Agutorio był blizkim kresu, gdy młody krewny stanął przed nim, lecz ten posiadał nieznaną innym tajniki zdobyte nauką, doświadczeniem i bezsennymi nocami, to też z całą energią i znajomością rzeczy ku wielkiemu podziwieniu kolegów nakazał wprost przeciwnie środki; w piętnaście dni po przybyciu do Pizy Agutorio powracał do zdrowia, a całe miasto głosiło sławę doktora Rameti.

Nie widząc się już potrzebnym, oświadczył chęć powrotu do domu, a stary kupiec zawezwał go do siebie.

Wśród przepychu bogatej komnaty ozdobionej cennymi dziełami sztuki spoczywał na sofie Agutorio, a przywitawszy uprzejmym uśmiechem krewnego, wskazał mu miejsce obok siebie.

— Winienem ci życie mój drogi. Doktor ukłonił się skromnie, co jeszcze więcej ujęło kupca.

— Tyś mnie wskrzesił, ocalił i nie sądz, że masz do czynienia z niewdzięcznikiem, przekonasz się, że ocenić cię i wynagrodzić potrafię. Mam kilku dalszych krewnych, których nie wiele cenię z powodu ich głupoty i marnotrawstwa, wiem, że pragnęliby mnie już widzieć na Campo Santo, ty którego dotąd zaniedbywałem, przeciwnie otoczyłeś mnie synowską troskliwością, ocaliłeś, wydarłeś ze szponów śmierci.

— Szczęśliwy jestem, że starania moje pomysłny odniosły skutek, ale wierz mi, że dobra natura, a może jaka wyższa siła działały więcej.

— Skromny jesteś, o ile rozumny, tem więcej cię cenię, wiem, że usilnie pracujesz, że masz liczną rodzinę, chęć cię wynagrodzić stosownie.

O dzięk! pomyślał Petro—nareszcie moja rodzina wyzwolona z biedy; o droga Julio, jakże cię mój powrót ucieszy.

Agutorio po chwili wypoczynku mówił dalej:

— Inny wynagrodził by cię tysiącem lub dwoma dukatami, dla mnie byłoby to drobnostką, bagatelką, ja zrobię dla ciebie więcej, to mówiąc podsunął pergamin doktorowi.—Poznaj, czytaj to mój testament.

Bogaty kupiec Pizy z wyjątkiem drobnych legatów czynił Petra Rameti jedynym sukcesorem swoich skarbów i posiadłości.

— Poczekasz trochę, ale zdaje mi się, że nie na tem nie stracisz.

Rameti zamiast radości doświadczył jakby rozczarowania, smutnego zawodu, z czem stanie przed rodziną.

Czekać i znowu czekać—pomyślał, pokłonił się i wyszedł, trzeciego dnia zapukał do domu, w którym czekała go z upragnieniem stęskniona żona.

Miesiąc blisko nieobecności doktora i zaniedbanie skromnej klienteli pogorszyło smutne położenie rodziny; o ileżby wolał Rameti skromniejsze wynagrodzenie bogatego kupca nad przyszłe bogactwa, na które może jeszcze długo czekać trzeba, ale duma nie pozwoliła mu wykryć prawdy. Czas jakiś toczył odważną walkę z niedostatkiem, robił wszelkie starania, by go odeprzeć i polepszyć byt rodziny, lecz znowu żądza nauki roznamiętniała go, a poważne i głębokie studia odrywały od pracy zarobkowej, mi-

łość wiedzy zwyciężała nad miłością najbliższych istot, biedny szamotał się w tej walce, a biedniejsza jeszcze Julia wylewała ciche łzy, z trwogą przed jutrem, radziła udać się do Agutorio, lecz ambicya doktora oparła się temu stanowczo, zdawało mu się hańbą wyciągnąć rękę do bogatego krewnego, który sam nie domyślał się niczego i traktował go na równi z sobą.

W czasie tej skrytej walki Agutorio zapragnął rozrywki i roztargnienia i w tym celu przyjechał do stolicy świata, a urządziwszy się z całym przepychem i wygodą, odwiedzał biednego krewnego i zapraszał go często do siebie.

Jakże często fortuna i powodzenie czyni egoistów nie wchodzących i nie rozumiejących położenia drugich, bogaty Agutorio zdawał się nie widzieć nic, chwalił, zachęcał, obiecywał, mówiąc często będzicie bogaci bardzo bogaci, Petro milczal przez dumę, a może już zły duch szeptał mu do ucha, Julia milczała przez uległość dla męża.

Malarya tak zwykła w Rzymie pochwyliła starego kupca, a ten z całym zaufaniem powierzył się radom krewnego.

Straszna choroba zaczęła już ustępować, sława Rametiego nabierała znowu rozgłosu, ale w kasie pustka, a w domu coraz większa bieda. Petro zrobił się naraz ponury, dziki prawie, a gdy Julia z całą nieśmiałością prosiła go o trochę pieniędzy, odpowiadał niezwykle szorstko i cierpko. Razu jednego z dziwnie tajemniczym wyrazem odezwał się do żony: Julio sprzedaj meble, bieliznę, sprzedaj książki moje, jeżeli potrzeba, jeszcze trochę cierpliwości, a będziemy bogaci, teraz wiem o tem na pewno.

— Więc twoja nauka nie mu już poradzić nie może?

— Już mu jest niepotrzebna, przekonasz się wkrótce.

Przepowiednia się ziściła i Agutorio wolno bez cierpienia zakończył życie.

Julio więc nareszcie jesteście bogaci, rzekł do żony, wchodząc do mieszkania, ale głos jego zabrzmiał dziwnie złowrogo w uszach Julii, jakieś straszne obawy ogarnęły jej umysł, tak że dawna bieda szczęściem się jej wydała w porównaniu z domniemanem bogactwem.

Zaczęły się przygotowania pogrzebu, przybyli krewni, a domyślając się rozporządzenia kupca, podmówieni przez zawistnego doktorowi kolegę, zażądali sekcyi zwłok.

Śmiertelna bladeść rozlana na twarzy Petra potwierdziła przypuszczenia, zwołano najbieglejszych chemików i lekarzy, a ci we wnętrzościach znaleźli truciznę zadaną w napoju.

Otworzono testament czyniący Petra jedynym prawie spadkobiercą, co naturalnie pogorszyło położenie; śledztwo i tortury dokonały reszty, Petro przyznał się do winy, a że wówczas nie dopuszczano łagodzących okoliczności, sławny doktor i wielki uczony skazany został na śmierć haniebną, która w drodze łaski na dożywotnie więzienie zamieniona została. Rodzina jego straciła prawo do spadku.

Takim był człowiek, wielki winowajca, którego codziennie odwiedzał Gregorio Allegri, udzielając mu pomocy i duchowej pociechy; żaden więzień nie interesował tak wielkiego jałmużnika.

Jego wysoka inteligencja, wyższy umysł, głębokie cierpienie, budziły w nim współczucie uważał go za anioła straconego i marzył o jego wybawieniu.

Jakże częste były rozprawy pobożnego księdza i uczonego doktora o rodzących się namiętnościach, o pobudkach pchających do zbrodni o obojętności zaslepionego egoizmu, o tem strasznym fatum, które w jednej chwili burzy wszelkie zasady i spycha na dno przepaści moralnej z jakąś miłością, chciał pierwszy zaszczerpieć wiarę w drugiego, wskazując mu tam źródło pociechy, ulgi i przebaczenia. Petro żałował swej winy pokutował strasznie, wyrzucając sobie upadek i nieszczęście rodziny jego, rozum potępił czyn niegodny, dusza się oburzała, ale pobudek religijnych opartych na wierze nie było.

Codziennie prawie powracali do tego samego przedmiotu, codziennie rozchodzili się przy swoim: Piotr Rameti był dzieckiem swojego wieku

Po świetnej epoce, odrodzenia nowe prądy ogarnęły umysły, dociekano prawdy i szukano dróg nowych, podając w wątpliwość wiele z dawniejszych, szkoły Racyonalistów czyniły myśl i rozum ludzki sędzią najwyższym, Piotr Rameti miał pokrewne im poglądy i przekonania. Z tem wszystkim pobożny mistrz nie tracił nadziei, że wcześniej, czy później nawrócenie nastąpi i ten umysł buntowniczy musi poddać się zbawiennym wpływom wiary i nadziei.

Ufajmy i czekajmy mówił, a tymczasem ulżyć jego cierpieniom, wrócić mu wolność i rodzinę stało się pragnieniem Gregorio i raz tą myślą opanowany marzył o najprędzem jej urzeczywistnieniu.

Piętnaście lat kary zdawały mu się dostatecznymi dla sprawiedliwości ludzkiej, lecz czy Najwyższa władza podzieli jego zapatrywania, cały Rzym zna jego zbrodnię, a lud szemrał na złagodzenie kary.

Opatrzność przysłała mu z pomocą: Jego Świątobliwość Urban VIII pod wpływem cudownych tonów Miserere w uroczystość Wielkanocną zażądał widzieć pobożnego mistrza i gdy ten stał się przed jego oblicze zawołał:

Gregorio Allegri w uszach ciągle mi brzmi twój śpiew, chyba z natchnienia wyższego pochodzący, jesteś geniuszem muzyki religijnej: twoje Miserere tyle ma dla mnie wartości, że żądam, aby moja kaplica była jedynie w posiadaniu tego arcydzieła, każdego roku w Wielki Tydzień wykonywać go będą w mojej obecności, sądzę, że moi następcy potwierdzą moje postanowienie.

Cóż za chwała dla pokornego sługi Pana Najwyższego! kłaniając się, szeptał Allegri.

Chciałbym cię wynagrodzić mówił dalej papież, chciałbym, aby nagroda była godną mnie i ciebie. Żądam czego chcesz, może masz biedną rodzinę, chcesz jakie dobrodzieństwo wyświadczyć, chcesz wywyższenia, godności—żądam, a nic ci odmówionem nie będzie.

Na te słowa radość niebiańska rozjaśniła oblicze kapłana.

— Wasza Świątobliwość uprzęda moje najskrytsze, najgorętsze pragnienia; mam wielką prośbę i drzę z obawy, aby mi odmówiona nie była.

Nie będzie—odpowiedział papież.

A więc nie waham się dłużej, o Świątobliwy Ojcze! w głównym więzieniu zamknięty od lat piętnastu winowajca, którego codziennie odwiedzam, o wolność dla niego śmiem błagać, padając na kolana, zawołał z uniesieniem. Jest wielki winowajca, dla którego jeden z Twoich poprzedników, okazał się łaskawym, dokonaj dzieła miłosierdzia dla nieszczęśliwego, który w szczerym żalu długie pokutuje lata.

— Jego imię? Petro Rameti, odrzekł Gregorio, rzucając na papieża i obecnych kardynałów niespokojne wejrzenie.

Petro Rameti—powtórzył zwolna papież, jeżeli sobie przypominam, był on biegłym doktorem, uczonym, otrul krewnego, po którym miał odziedziczyć majątek, nędznik.

— Jego Świątobliwość odgadła.

— I ten winowajca interesuje cię tak bardzo?

— Jak by był moim rodzonym bratem.

Chwilowa rozpacz, nędza rodziny popchnęła go do występku, którym się brzydzi i potępia.

— Ależ mówiono mi, że to niedowiarek, po ciebie religijnych nie przyjmuje.

— Prawda, wszystkie moje starania nie zdołały go nawrócić i dla tego błagam Jego Świątobliwość za nim, a nie tracę nadziei, że zdołam zdobyć dla wiary ten potężny umysł i to zbolełe serce.

Papież dał znak jednemu z kardynałów, za zbliżeniem wymówił do niego z cicha słów kilka, które tenże przeniósł na pergamin i przyłożył pieczęć. Papież odebrał go z rąk kardynała a wręczając Allegremu, powiedział:

— Weź to, nie odmawiam nic autorowi Miserere. Idź do nieszczęśliwego, którego ukochałeś w miłosierdziu. Oddaj go rodzinie. Dołącz zaczętego dzieła, wrzusz tę zblakana duszę, pokonaj ten żelazny upór. Niech Ci Bóg pomoże. Ja przebaczam.

— O dzięki, dzięki!—wołał Allegri z radością, rzucając się do nóg papieża. — Jego Świątobliwość czyni mnie najszczęśliwszym z ludzi. Bóg dokona reszty.

W godzinę potem Petro był na wolności.

(Dokończenie nastąpi).

ODCZYTY.

Antoni Pilecki „Przyroda w poezyi.“ —D-r Maksymilian Flaum „Mózg i żołądek.“

Do najpiękniejszych i najbardziej zajmujących w tegorocznej seryi odczytów na korzyść Warszawskiego towarzystwa Dobroczyńności należały niewątpliwie dwie prelekcye wytwornego estetyka i poety, p. Antoniego Pileckiego, o przyrodzie w poezyi. W wykładzie barwnym, poetycznym, utalentowany prelegent przedstawił w nich stosunek do przyrody wybitniejszych malarzy słowa, kochanków muz i natchnienia, zaczawszy od czasów najdawniejszych, a skończywszy na wielkich wieszczach stulecia bieżącego.

Temat olbrzymi, o wyczerpaniu go w szczupłych ramach dwóch odczytów publicznych nie mogło naturalnie być mowy. Autor, skrupowany krótkością czasu, nie mógł się podzielić ze słuchaczami całkowitym owocem studyów swoich nad poezją wszystkich ludów i czasów, wiele rzeczy pominąć musiał zupełnie, w wielu razach na krótkiej tylko poprzestawał wzmiance, chociaż myśl rzucona wymagała uzupełnienia i rozwinięcia. Mimo to dla przedmiotu swojego umiał p. Pilecki w szczerze zapełnionem audytorium wzbudzić zajęcie żywe, zaimponował słuchaczom bogactwem i obfitością treści, a chwilkami porwał poprostu czarem pięknego słowa, pełnego barwnych obrazów i poetycznych przenośni.

Z pięknym studjum p. Pileckiego o przyrodzie w poezyi, rozszerzonym znacznie przez autora, czytelnicy „Bluszczu“ wkrótce zapewne będą mieli sposobność zapoznać się bliżej, gdyż prelegent obiecał łaskawie umieścić je w całości na łamach pisma naszego. Wobec tego nad treścią jego odczytu szczegółowo zatrzymywać się tu nie będziemy, zwracając jedynie uwagę na kilka jej punktów wytycznych.

W obszernym wstępie mówił autor wogóle o stosunku przyrody do człowieka. Przyroda nie zna człowieka, jest siłą nieświadomą, posłuszną prawom odwiecznym; poezya jej przemawia do nas mową nadludzką, którą człowiek musi na język swój przekładać. W głębinach duszy swojej tworzy on królestwo przyrody, z martwego kamienia stwarza doskonałość kształtów, z gry światła i cieni—cudne harmonie barw, ze śpiewu słowika, szumu wiatru, szmeru strumienia—melodye porywające; potęgą słowa powołuje do życia takie światy, jakich przyroda nigdy nie stworzyła.

Przyroda ma zupełnie inne przeznaczenie. Słońce świeci nie dla gry promieni, słowik ani się domyśla, że go słucha dziewczę rozmarzone. Ale wrażliwa dusza artysty słyszy śpiew słowika i płacz wichury, i z tych motywów tworzy arcydzieła. Z drugiej strony jednak nie ulega wątpliwości, że przyroda i bez artysty lub poety jest piękna sama przez się i żyje własnym swym życiem. Czar jej nie zdoła odtworzyć w całości żadna twórczość artystyczna. Wiosna n. p. rzuca pod stopy nasze takie bogactwo wdzięków, że tylko cząstkę ich drobną duch ludzki wchłonać jest w stanie.

Ażeby odczuwać i rozumieć piękno, trzeba pełnego wykształcenia estetycznego. Nie każda dusza jest harfą eolską, na której zefiry wygrywają cudne melodye. Naturalnymi tłumaczami i nauczycielami piękna są właśnie artyści i poeci, którzy w dziełach swoich stwarzają odrębny

świat i wprowadzają nas do wspaniałej świątyni sztuki, gdzie dusza nasza rozszerza się i uszlachetnia, uczy się patrzeć na świat rzeczywisty oczyma Dantów, Byronów, Mickiewiczów...

Zauważywszy po tych uwagach wstępnych, że każdy naród, każdy wiek inaczej spogląda na przyrodę i odczuwa ją inaczej, załatwił się autor w kilku słowach z poezją starożytnych Indusów i Izraelitów. Na łonie wspaniałej przyrody Indyi żyli razem bogowie i ludzie. Bogowie byli uosobieniem przyrody. W całej poezyi staroindyjskiej zauważyć się daje symboliczny związek człowieka z bóstwem. Inaczej u synów Izraela. Nie widzieli oni bóstwa w każdym zjawisku, ziemia cała była w ich pojęciu podnóżkiem Przedwiecznego, przyrodę przenikał dreszcz trwogi przed obliczem groźnego Jehowy. Prawda i piękno żyją nie w przyrodzie, lecz ponad nią, na wyżynach niebios. Najwięcej odczucia przyrody mamy stosunkowo we wspaniałych „Pieśniach nad pieśniami“ Salomona, które stworzyła miłość...

Inny zgoła był znowu stosunek do przyrody pogodnego ducha greckiego. Świat cały dla Greka—to *kosmos*, porządek, ład, piękno. Bogowie Hellady żyją wspólnie z ludźmi życiem śmiertelnych. Gdy Indus żył w przyrodzie, Grek żyje z nią razem. Scharakteryzowawszy w zarysach ogólnych stosunek do przyrody Homera, Anakreona, Simonidesa i Pindara, dalej tragiczków: Eschylosa, Sopoklesa i Eurypidesa, wreszcie sielankopisarzy sycylijskich, jak Teokryt i Bion, przychodzi autor do wniosku, że poezya grecka w odczuciu natury przeszła całą skalę rozwoju, od przedmiotowej metafory, aż do uwydatnienia nastroju duszy ludzkiej i utworzenia krajobrazu, nie doszła jednak do tej głębokości uczuć, która cechuje poezję nowoczesną.

„Żelazny kolos Rzymu“ nie spoczywał na kwiatach poezyi, lecz w odczuciu przyrody Rzymianie poszli dalej od Greków. Do takiego wniosku dochodzi autor, po wczytaniu się w twory Lukrecjusza, Katullusa, Wirgiliusza, Owidyusza, Horacyusza i innych poetów złotego wieku Augusta. W epoce późniejszej żywsze poczucie piękna przyrody przygłuszone chwilowo zostało przez ducha chrystianizmu ascetycznego, który odwracał się od ziemi, jako od źródła pokus, i wzrok swój wznosił ku niebu. Lecz wzamian za to Chrystianizm przyniósł ze sobą pierwiastek tajemniczości, z którego wysnuła się następnie nowożytna poezya zadumy i marzenia, kilkaset lat trzeba było czekać, nim w epoce odrodzenia, pod ożywczym tchnieniem klasycyzmu helleńskiego, w pieśniach Petrarki i Danta ożyło na nowo głębsze, szersze odczucie przyrody.

Poświęciwszy słów parę poetom iberyjskim, a mianowicie Kamoensowi i Kalderonowi, zatrzymał się prelegent obszerniej nad Szekspirem, którego wielka poezya zdołała objąć cały obszar ducha ludzkiego i przyrodę całą powołać do wspaniałej symfonii. Dłuższe ustępy poświęcił autor również Klopstockowi i J. J. Rousseau i wreszcie scharakteryzował obszernie stosunek do przyrody wielkicielei poetów nowszej doby, jak Goethe, Szyller, Byron, Schelley, Heine, Wiktor Hugo i inni. Na uwagę zasługują zwłaszcza ustępy, w których mówi autor o poezyi „najczulszego kochanka przyrody“ Schelleya, porównując ją z poezją Byrona. Nie kusimy się nawet o powtórzenie w zarysach najogólniejszych treści tych miejsc, gdyż to, nie dając pojęcia o prześlicznym języku, wspaniałych porównaniach i istotnej osnowie całości, mogłoby tylko osłabić wrażenie, jakiego czytelnicy doznać powinni przy czytaniu w „Bluszczu“ pięknej pracy p. Pileckiego.

Z tego samego powodu mówić nie będziemy o analizie stosunku do przyrody poetów polskich, którym poświęcił autor większą połowę drugiego odczytu, najobszerniej naturalnie zatrzymując się nad arcy mistrzem słowa naszego, a zwłaszcza jego sonetami krymskimi i „Panem Tadeuszem.“ Charakterystyka stosunku do przyrody Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego i trzech poetów szkoły ukraińskiej należała do najlepszych ustępów odczytu, zakończonego wzmian-

ką o autorze „Pieśni o ziemi naszej,“ Wincentym Polu.

Jeżeli pierwsza część pracy p. Pileckiego, wskutek ogromu materiału, wywierała niekiedy chaotyczne nieco wrażenie, to za to w części drugiej przedmiot opanowany został w zupełności i wyłożony w formie wysoce artystycznej, do której zresztą utalentowany autor przyzwyczaił nas w swoich utworach.

Odmienny charakter nosił pouczający a treściwy wykład d-ra Maksymiliana Flauma o mózgu i żołądka, ostatni z szeregu wielkopostnych odczytów w sali Muzeum przemysłu i rolnictwa. Nie ubiegając się o ozdoby retoryczne, autor dał nam przystępną pogawędkę popularno-naukową, wypowiedzianą językiem poprawnym, do której tematu dostarczyła mu dziedzina nauk przyrodniczych, a mianowicie: biologia, anatomia i fizjologia, oraz psychologia.

Chcąc dowodzić ściślejszej łączności między funkcjami mózgu, siedliska myśli, uczuć i woli, i „poziomym organem trawienia“—żołądkiem, poświęcił autor na wstępie kilka słów istotom jednokomórkowym, które, nie dzieląc się na organy, w jedynej komórce swojej koncentrują wszystkie zadania i cele. Od komórki przeszedł prelegent do anatomii człowieka i zapoznał nas w zarysach ogólnych z układem kostnym, muskulaturą, przewodem pokarmowym etc., posilkując się przytem wybornymi obrazami niknącymi, do których klisze sprowadzone zostały z Anglii.

Fizjologia głodu i charakterystyka zaburzeń, stanowiła drugą część odczytu, urozmaiconą urywkami ze słynnego „Głodu“ Knuta Hamsuna oraz znanym ustępem z „Boskiej komedyi“ Dantego, odtwarzającym męki przedśmiertne nieszczęsnego Ugolina. Następnie przeszedł autor do fizjologii trawienia, na które wywiera duży wpływ nastrój psychiczny jednostki i różnorodne czynniki, wpływające z mózgu. W zakończeniu przychodzi d-r Flaum do wniosku, że wszystkie czynności organów ludzkich dążą do harmonii i że nie może być mowy o niezależności lub zatargu między różnymi stronami istoty naszej. Nie ciało więc kształcić należy, ani ducha, lecz harmonijną całość, jaką człowiek stanowi.

Interesujący odczyt d-ra Flauma wzbudził również zajęcie żywe i podobał się ogólnie. Powodzenie ogromne, jakim się cieszą u nas odczyty publiczne wogóle, niektóre z nich powtórzyć nawet wypadło, powinnyby naprowadzić na myśl zorganizowania w Warszawie stałych prelekcji popularno-naukowych z różnych gałęzi wiedzy, na wzór t. zw. uniwersytetów ludowych, które zagranicą są tak ważnym czynnikiem w szerzeniu oświaty wśród mas ludności, nie mającej dostępu do uniwersytetów właściwych.

Wł. Bukowiński.

NAŁASCE

POWIEŚĆ

przez

M. N. Sas-Junoszę.

(Dalszy ciąg)

Ze znużoną twarzą, z wyniosłością traktowała z góry swoich wielbicieli, z pomiędzy panów wyróżniając jednego tylko—ku wielkiemu zdziwieniu wszystkich—pana Juliusza! Tak! wyróżniała go jawnie i otwarcie, odbierając Janinie jednego adoratora. Biedny stary dzieciak

wyglądał oszołomiony temi względami, nie zdając sobie dokładnie sprawy, co z nim się dzieje, i nie przestając oczami ścigać młodej sieroty. Natalia natychmiast spostrzegła to kochanie, tak poczciwe, naiwne, a tak zabawne, ale nie wpłynęło to wcale na zmianę jej postępowania. Owszem, głosem łagodnym z przyjazną poufałością tak słodko przemawiała do niego, że udało jej się zdobyć całe zaufanie Juliana i usłyszała serdeczną spowiedź jego uczuć...

Naiwny i dziecięcego umysłu młodzieniec, potrzebował wynurzyć się z uczuć, które serce mu rozpięły, a przede wszystkim skarżyć się na upór siostry i nieczułość Janiny. Zyskał słuchaczkę uważną, cierpliwą i przyjazną i odtąd coraz częściej bywał w Żarnkach i coraz dłużej rozmawiał z Natalią. Pani Adela, którą dawna znajomość łączyła z piękną panią, z początku obawiała się tego ścisłego stosunku, niepewna czy Natalia nie drwi sobie z biedaka i nie utwierdza go w tem co ona nazywała dość trywialnie „głupim zaszłapaniem.“

Ale pani Natalia uspokoiła ją kilkoma wyrazami:

— Nie ufasz mi? — rzekła raz, gdy były same. — Obawiasz się, żebym go nie utwierdzała w uczuciu uwielbienia dla tej małej?... a czy nie wiesz jaki sposób najlepszy na wyleczenie z nie stosownej miłości!... odpowiem ci staropolskim przysłowiem: Trzeba wybić klin klinem...

Zaśmiała się pani Adela, zrozumiałwszy doskonale zamiar Natalii.

— A przecież... jeżeli naprawdę w tobie się zakocha?—zauważyła.

— Zakocha się z pewnością, — oświadczyła Natalia z zupełnym spokojem. — A potem... potrafię mu wybić z głowy tak samo pierwsze, jak i drugie...

Rozrzewniona Adela, wdzięczna za brata, uściśnęła serdecznie Natalię... Obie posiadały dość elastyczne sumienie—aby wiedzieć, że gdy niebezpieczeństwo grozi, nie pora przebierać w środkach... Zresztą, Natalia miała zabawę. Z wielbicieli, którzy tutaj przybyli za nią, każdy był jej dobrze znany, o każdym wiedziała, że prędzej czy później jej się oświadczy... przestali ją więc zajmować. Juliusz przeciwnie, był nie tylko nieznanym, ale zupełnie oryginalnym osobnikiem, a przede wszystkim bawiło panią Natalię, że odbierze go Janinie, którą osądziła za istotę, na którą uwagi zwracać nie warto. Przeworna jednak i bardzo dbająca o pozory, Natalia niezmiernie uprzejmą starała się być dla Janiny, gdyż zasadą jej było, że wszystkich wielkich i maluczkich zdobyć wypadało, ponieważ to w różnych okolicznościach do rozmaitych celów posłużyć może...

Tymczasem Roman zabawiał swoich gości w Wasilcach. Oprócz hrabiego Alfreda Łuckiego i Stanisława Walickiego, podążył za nimi gość pani Żarnowieckiej, pan Karol Przemyski; panowie polowali, grali w wista, zabawiali się rozmową, a Roman nudził się, wypełniając sumiennie obowiązki gospodarza, radby w każdej chwili znaleźć się w Żarnkach.

Wkrótce zjechał do Wasilec gość, pożądaný zawsze dla Romana, sympatyczny, miły i wykształcony książę Bruno Lubicz. Był to właśnie ten, z którym prawdopodobnie Władysław Kręcki miał się w świat puścić.

Pomimo znacznej różnicy wieku, jaka była między nimi, serdeczna przyjaźń łączyła księcia z Romanem, wpływająca z podobieństwa charakterów i upodobań. Książę był to człowiek poważny, około pięćdziesięcioletni, piękny jeszcze, z wyrazem dobroci i rozumu w szaro błękitnych oczach; postawy wspaniałej, ruchów dystygowanych, imponował każdemu na pierwszy rzut oka. powierzchnością swoją. W pierwszej młodości, w późniejszym wieku, książę odznaczał się znakomicie na arenie politycznego życia; dbały zawsze o dobro rodzinnego kraju, nie jedną ofiarę na ten cel złożył. Obecnie usunął się z szerszej widowni, ustąpił—jak mówił—młodszym i energiczniejszym. Jednak, umysł wiecznie żywy, spragniony wrażeń, niespożyte siły żywotne, nie dały mu spoczynku.

Książę lubił zawsze, namiętnie, studyować historię ludów i wieków odległych; dawniej nie miał czasu oddać się tej namiętności z takim zapałem, z jakim by pragnął;—utrzymywał zawsze, że osobiste wymagania należy poświęcić dla dobra ogółu. Odmałwiał więc sobie tej jedynej rozkoszy, aż do chwili, gdy zwolniony z obywatelskich obowiązków, nie posiadający blizkiej rodziny, bardzo bogaty, postanowił ostatek swego życia użyć na studyowanie ulubionego przedmiotu, ażeby—jeżeli siły pozwolą—napisać dzieło, które może—jak się skromnie wyrażał—może kiedy przyda się na co... W tym celu pragnął dotrzeć do źródła, do kolebki narodów życia. Azya przede wszystkim pociągała ku sobie naszego uczonego; co za skarby wiedzy kryją się w piramidach Egipskich, lub w świątyniach Indyi, gdzie panuje wszechwładny Budda!...

Gdy książę zaczynał mówić o rozkoszach czekających go w krainach nieznanych, ale od dawna marzonych, oczy mu połyskiwały ogniem zapału a usta drżały nerwowo; promieniał cały!

Przy pierwszym obiedzie po przybyciu księcia do Wasilec, Roman mu wspomniął o towarzyszu podróży.

— No, cóż! — zawołał książę gorączkowo, — masz go? masz?

— Jutro... dziś nawet... nie! jutro z pewnością tu będzie,—odrzekł Roman. — Natychmiast posłę konie po niego...

Rzeczywiście, widząc gorączkę niecierpliwości objawiającą się nerwowem drganiem ust księcia, nie wstając od stołu na wizytowym biletie wyjętym z kieszeni, napisał słów kilka i oddając jednemu z usługujących lokaj, polecił żeby natychmiast wysłać konie do Żarnek, z listem, po pana Władysława Kręckiego.

— Jakież on jest? powiedz mi co o nim?—nalegał książę.

— Jaki?...—rzekł Roman, który zamyslił się głęboko nad tem, w jaki sposób Władysław przyjmie słowa jego listu i prośbę o przybycie.—Ja myślę, że sam osądzisz najlepiej, gdy go zobaczysz...

— Gdzież trzymasz tego gotowego towarzysza podróży księcia, którego masz tak—na zawołanie? — ozwał się pesymista z zawodu i po części z musu, Alfred Łucki. Ogromny majątek po rodzicach przetopił w trzeciej części na czyste złoto w Monte Carlo—na złoto szatańskie, po którym nawet kupa węgla nie pozostaje, a teraz, oszczędzając resztki, czekał na mannę niebieską, która miała spaść na niego w postaci synekury w jednej z instytucji krajowych—institucji stanowiącej zwykły przytułek dla zbankrutowanej szlachty...

— Gdzie go trzymam?—odrzekł Roman.—Poznałem go przypadkiem, w Żarnkach, u mojej ciotki, gdzie jego znowu ciotka, pełni urząd nauczycielki ludowej, w szkole wiejskiej.

— Ah, voilà!—zaśmiał się Alfred,—pewnie jakiś jakobin!

— Albo socjalista! — dorzucił wesoly Staś Walicki.

— Ani jedno, ani drugie, — odrzekł spokojnie Roman. — Władysław Kręcki jest człowiekiem niepospolitych zdolności, ale wykolejonym, — ten wyraz sam wybiegł mu na usta, jako wierne tłumaczenie myśli—i nieszczęśliwym!

Na usilne naleganie księcia, musiał Roman opowiedzieć wszystko, co wiedział o Władysławie, o jego ambitnych celach, ruinie majątkowej i ruinie wszelkich nadziei, o walce jaką toczył z losem...

— To mi się podoba,—zawołał książę.—Dzielny musi być chłopiec, kiedy walczy z losem!

— Z tem wszystkim, — dorzucił przez zęby Alfred Łucki z niejaką zazdrością, — książę odegrasz rolę malutkiej opatrznosci względem tego—biedaka...

— Bardzo bym tego pragnął,—odrzekł książę z prostotą, wybitną cechą każdej jego czynności. — Chciałem zawsze wziąć z sobą młodego człowieka, któremuby posada mego sekretarza przydać się mogła, jako jeden szczebel wyżej na drabinie prowadzącej do obranej karyery...

— Ja sędzę, że posada książęcego sekretarza już sama w sobie karyerę stanowi i wątpię, aby

ten pan mógł marzyć o czemś więcej zaszczytnem,—odezwał się Alfred zawsze tym samym tonem zgryźliwym.

— Niestety,—odszedł książę,—jestem innego zdania jak pan... Młody człowiek, aby mieć karierę, na wybitnym stanowisku stanąć powinien... a czemże odznaczy się ktoś przepisujący jak maszyna moje bazgrainy, które kto wie czy mają rzeczywistą wartość dla ogółu... Sam siebie zapytuję niekiedy—dodał poważnie się zamysłając,—czy ta moja namiętność naukowa, nie jest li tylko namiętnością i fantazją starego utopisty i samotnika, który nie ma czem życia zapełnić...

Obecni zaprzeczyli, nie wyjmując pana Alfreda, który przypomniał sobie naraz, że gdzieś... kiedyś... wpadło mu w oczy coś... artykuł jakiś... już nie pamiętał o czem! podpisywany imieniem i nazwiskiem księcia, ale bez tytułu.

— Aha! — zawołał.—Ale czemu to książę kryje się w cieniu, nie podpisując tytułu? To by tak pięknie brzmiało!...

Książę uśmiechnął się.

— Dodałoby wartości literackiemu utworowi—rzekł dobroduszenie—nieprawdaż, kochany panie!

— Szkoda, że Alfred nigdy nie nie napisał! — zawołał milezący dotychczas Karol Przemyski. — Jakby to ładnie brzmiało! Naprzykład: Baranie głowy, powieść, napisał Alfred hrabia Lucki!

Wszyscy śmiać się zaczęli i Alfred z nimi; na Karola trudno się było obrażać, bo zwyczajem jego było drwić sobie z każdego... a zresztą... czyż konieczne zaraz dopatrywać aluzji? Głupcy tylko biorą natychmiast wszystko do siebie.

— Może utniemy sobie partyjkę bilardu, co? — rzekł Alfred do Karola, gdy wstawano od stołu.—po obiedzie to bardzo zdrowo... Dziś mało ruchu użyłem, a i tobie nie zawadzi, bo tyć kochanie nie na żarty zaczynasz!

Tyć!... była to słaba strona poczciwego pana Karola, który do swej pięknej figury przywiązywał wielką wagę. Spokojny zresztą człowiek, lubiący tylko popisywać się czasem dość trafnie dowcipnymi uwagami.

Poszli więc do bilardowej sali, Staś Walicki dosiadł konia ze sławnej stajni Romana, a ten ostatni wraz z księciem udali się na chłodną werandę pałacu od północnej strony, na upragnioną przez Romana poufną pogadankę z przyjacielem.

Zasiedli już wygodnie, pałac wonne cygara, gdy służący wniósł na tacy list do Romana.

— Od ciotki Żarnowieckiej...—rzekł,—pozwolisz, że przeczytam...

Rozerwał kopertę i po niedługiej chwili:

— Ciotka moja, — mówił z uśmiechem,—dowiedziała się, że ty, Brunonie — już jesteś tutaj i błaga mnie bym ciebie do Żarnek przywiózł.

— Panią Żarnowiecką znam niewiele, — odrzekł książę, — ale miło mi będzie... Ale słuchaj! — dodał z żywością,—przecież musimy czekać na twego protegowanego.

— Władysław jutro nad wieczorem nadjedzie z pewnością; do Żarnek pięć mil prawie... Napisać ciotce, że w tych dniach będziemy u niej — a tymczasem, — dodał do czekającego służącego,—zajmijcie się posłańcem... Switem dopiero odjedzie napowrót... list przygotuj.

Służący odszedł.

— Za parę dni wypadają imieniny ciotki, Ś-go Władysława...—rzekł Roman po chwili,—sądzę, że chodzi jej głównie o to, żebyśmy się wszyscy na ten dzień stawili.

— Dobrze, pojedziemy... — odparł książę. — Tylko muszę pierwiej z tym młodym człowiekiem skończyć sprawę. Powiedz mi o nim coś jeszcze... nie dziwisz się, że mnie to zajmuje? Czy sądzisz, że zechce pojechać?

Roman wzruszył ramionami, nie odpowiadając natychmiast.

— Czy ja wiem?... Zachodzą rozmaite okoliczności, których nie uznałem potrzeby opowiedzieć w obecności tych panów... Wyobraź sobie, że Władysław jest zakochany i... co dziwniejsze... we mnie ma rywala... — dodał z na-

głem postanowieniem zwierzania się przyjacielowi.

— Brawo! bardzo mię to cieszy, Romanie! U twojej ciotki, podobno jest piękna córa...

— Którą mój ojciec pragnie widzieć swoją synową,—przerwał Roman. — Ale nie o nią tu idzie...

I opowiedział przyjacielowi całą swoją historię, zaczawszy od zawodu, jaki go spotkał od pani Natalii, a skończywszy na obecnych wypadkach. Potrzeba mu było wynurzyć się przed kim, zasięgnąć rady, zacerpnąć otuchy.

— Jeżeli spotka mnie znowu zawód, — kończył, — jeżeli ona, albo kocha Władysława, albo żadnego z nas... postanowiłem raz na zawsze wyrzec się wszelkich podobnych marzeń — które mnie dotychczas nic prócz smutków i rozczarowań nie przyniosły — i pojadę z tobą... choćby na koniec świata!

— Romantyczna historia, jak ze średnio-wiecznej ballady!... — odezwał się książę łagodnie, uśmiechnięty. — Nie spodziewałem się, żeś taki sentymentalny, ale cieszy mię to... dziś za wiele rachują na świecie!... wkrótce wygaśnie nawet wiara w prawdziwe uczucie, które stanie się anachronizmem... Tyle dziś już piszą: *sur la sélection*... aż obrzydliwie! ideały zastąpione brudną rzeczywistością... br! obrzydliwe i wstrętne!

Roman zamysłony, może nie słyszał tego co Bruno mówił.

— Wiesz,—rzekł,—nie mówiłem ci jeszcze jednej rzeczy... Pani Wieluńska jest w Żarnkach.

— Ta, którą kochałeś? no, i jakże? to zapewne komplikują całą sprawę?

— Pani Natalia należy do kobiet przenikliwych, a przytem zazdrośna...

— Obawiasz się żeby ci nie psuła?

— Mocno się obawiam... Choć mam nadzieję, że może nie dba obecnie o moje względy, ale ma taki dziwny, sceptyczny sposób zapatrywania się na życie...

Ruch się zrobił w tej chwili koło drzwi prowadzących z werandy do pokoju. Służący wprowadzał gościa, którym był — ku wielkiemu zdziwieniu Romana — Juliusz!

— Ja sobie tak, do pana przyjechałem! — zawołał młodzieniec od progu, mocno onieśmielony, ale śmiesznie nie dający się opanować temu uczuciu.

Mimowiednie rozśmieszony Roman, wstał z wyciągniętą ręką i słowami powitania. Przedstawił Juliusza księciu i podał krzesło.

— Bardzo mi miło, że pan sobie mnie przypomniał... — zaczął mówić.

— Al!... — przerwał Juliusz szybko, — Adela mówi, że powinien byłem dawno pana odwiedzić, a teraz pani Natalia...

— Cóż pani Natalia?

— Kazała mi jechać! — przyznał Juliusz otwarcie. — Jutro mam wracać...

— Tak prędko? podróż pana zmęczyć musiała; wypada spocząć choć dzień jeden.

— Nie mogę, słowo daję... nie mogę! — wołał przyciskając ręce do piersi z miną człowieka, który ma ważną misję do spełnienia.

— Pani Natalia kazała panu wracać? — spytał Roman poważnie.

— Tak! — potwierdził bez zająknięcia.

— Cóż tam w Żarnkach słyhać? — spytał znowu Roman, trochę zdziwiony uległością Juliusza dla rozkazów pięknej pani. — Pan zapewne często tam bywa?

— Ja? ależ codziennie, panie! codziennie! Jak mnie niema, pani Natalia pisze karteczkę... a jakie śliczne pismo!...

— Coś pani Natalia bardzo łaskawa na pana! — rzekł Roman trochę złośliwie.

— Al!... — rzekł Juliusz, strzepnął rękami, zaśmiał się cicho i nacylając się do ucha Romana, szepnął poufnie: — Pani Natalia... no, pani Natalia... trochę się we mnie kocha!

— Jakto? — zawołał Roman z udaniem oburzeniem, — pan sprzeniewierza się pannie Janinie?

— Co to znaczy: sprzeniewierza? nie znam tego słowa... Ja panią Janinę kocham zawsze, słowo daję... a pani Natalia mnie... Panna Janina zresztą...

— Co zresztą?...

— Panna Janina mnie nie kocha... i nigdy nie będzie kochała.

— Dla czego?

— Alboż ja wiem! Ja dla niej taki dobry, a ona nic... to niewdzięcznie! Ale cóż na to poradzić!

Z tych słów Roman poznał, że nad Juliuszem ktoś rozciągnął wpływ ogromny — domyślał się tej osoby. Zaledwie dziesięć dni upłynęło od czasu jego wyjazdu z Żarnek, a już takie zmiany... Kto wie gdzie nie dosięgnie wpływ pięknej pani?... Kto wie czego się spodziewać można...

Niepokój ogarnął biednego Romana.

Gdy reszta panów się zeszała, a Juliusz do nich się przyłączył, Roman odciągnął na bok księcia, który przez cały czas rozmowy przyjaciela z nowo przybyłym słuchał, ale się do niej nie mieszał.

— Jestem okropnie niespokojny! — zwierzył mu się z cicha.

— Paplanina tego głupca ciebie tak usposobiła? — spytał książę uspokajająco. — Nie widzę powodu do żadnego niepokoju, ale jeżeli chcesz, jedźmy tam zaraz...

— Nie! z Władysławem musisz się rozmówić... ale jeżeli pozwolisz... pojutrze, tak pojutrze pojedziemy... Pojutrze już dwudziesty piąty... za dwa dni i tak musielibyśmy jechać na imieniny ciotki...

— Och! ty stary dzieciaku!... — pobłażliwie rzekł książę, uderzając go z lekka po ramieniu.

(Dalszy ciąg nastąpi).

RUCH MUZYCZNY.

Najwybitniejszymi wypadkami dnia w ubiegłym sezonie, które skoncentrowały na sobie uwagę znawców i melomanów muzycznych były urządzone staraniem instytutu muzycznego dwa koncerty symfoniczne, na których pałeczka dyrygenta spoczywała w rękach Artura Nikischa. Nikisch używa dziś w Europie zasłużonej sławy jednego z najznakomitszych współczesnych kapelmistrzów i muzyków, Warszawa teraz dopiero jednak miała sposobność poznać go i podziwiać.

Urodzony na Węgrzech w r. 1855, od najpięwszych już lat młodości zdradzać począł Nikisch wielki talent do muzyki i szczególne zamiłowanie do skrzypców, na którym to instrumencie kształcił się w konserwatorium wiedeńskim pod kierunkiem znakomitego Helmesbergera. Jako 17-letni młodzieniec zyskuje na popisie dwie nagrody, jedną za kompozycję sekcetu smyczkowego, drugą za dyrygowanie orkiestrą, i mianowany zostaje równocześnie skrzypkiem w orkiestrze nadwornej opery wiedeńskiej.

W r. 1878 widzimy go na trudnym i zaszczytnym stanowisku dyrektora opery lipskiej, skąd po kilkoletnim pobycie powołany zostaje do Ameryki na kierownika bostońskiej orkiestry filharmonijnej.

Po ustąpieniu Rzebiezka ze stanowiska dyrektora opery w Budapeszcie, otrzymuje zaproszenie do objęcia opróżnionej posady. Syt laurów i sławy, wraca do rodzinnego kraju, przejęty szczerą chęcią naprawy rozluźnionych nieco w owym czasie stosunków w operze budapeszteńskiej. Usiłowania jego jednak w tym kierunku rozbijają się o niepowodzenia materialne i moralne, które zmuszają go w końcu do wyrzeczenia się myśli służenia krajowi. Po śmierci Bülowa obejmuje kierownictwo filharmonii berlińskiej, a w r. 1894 również dyrekcyę słynnego lipskiego *Gewandhausu*. W sezonie wiosennym dyryguje nadto corocznie szeregiem koncertów symfonicznych urządzanych w londyńskiej Queens Hall.

Nadmienić nadto wypada, że Paderewski uprosił Nikischa na sędziego w ogłoszonym przez sie-

bie przed niedawnym czasem konkursie na kompozycję dla muzyków polskich. Słusznie więc należało, aby bliżej poznał tych, których mu sądzić wypadnie.

Pierwszy koncert symfoniczny odbył się w dniu 12 marca. Doborowy program, na który złożyły się kompozycje Beethovena, Schuberta, Czajkowskiego i Wagnera, orkiestra teatralna, uzupełniona i znacznie powiększona, udział wreszcie zawsze mile słuchanego Barcewicza—wszystko to w połączeniu z osobą samego dyrygenta wypełniło teatr Wielki po brzegi. P. Nikisch przekonał nas, że zaszczytne głosy o sławie jego dochodzące nas z zagranicy nie były bynajmniej przesadzone. Poznaliśmy w nim jednego z tych nielicznych dyrygentów europejskich, pod których batutą orkiestra przestaje być zbiorem pojedynczych instrumentów, ale stanowić się zdaje jeden wielki. W interpretacji jego niema nic banalnego, nic, co by wskazywało na chęć gonienia za łatwymi efektami; tony orkiestry mówią i to mówią własnymi słowami kompozytora, są wiernym odbiciem najgłębszych jego myśli. I na tym to właśnie wielkim darze odczucia myśli kompozytora, noszącym nieraz piętno samodzielnej indywidualności twórczej, polega cała ta siła magiczna, z jaką talent Nikischa działa nie tylko na wykonawców, lecz i na słuchaczy. Pałeczka, której, dodać tu musimy, używa bardzo skromnie, staje się w rękę jego różyczką, nie na to tylko przeznaczoną, aby nią takt wybijać. W członkach orkiestry widzi nie tylko zwyczajnych „muzykantów“, lecz artystów powołanych do urzeczywistnienia nakreślonego z góry planu. Słuchacze czuli się prosto ujarzmieni tem magicznym opanowaniem orkiestry, widok bowiem potęgi, wywieranej samą swą indywidualnością imponować będzie zawsze szerokim masom. Z wykonanych na koncercie tym utworów najbardziej przemówiła do publiczności interpretacja uwertury Beethovena *Leonora Nr. 3* i symfonii *e-moll Czajkowskiego*. W *fantazji szkockiej* Brucha, w której orkiestrze nie zbyt wielkie przypadło zadanie, solo skrzypcowe odegrał p. Barcewicz.

W obec powodzenia, jakie miał pierwszy koncert, nie dziwnego, że i na drugi, który się odbył dn. 27 marca również w sali teatru Wielkiego, zebrały się żadne rozkoszy muzycznych tłumy publiczności. Tym razem wywarł dyrygent, jeżeli to w ogóle było możebnem, jeszcze większe wrażenie na słuchaczach. W uwerturze z „*Euryanty*“ Webera poznaliśmy młodzieńczą brawurę Nikisza; w interpretacji jego podziwialiśmy jego iście madyarski temperament, ujęty w karby niezwykłego artysty. W charakterze solisty wystąpił w wieczorze tym prof. A. Michałowski, który odegraniem koncertu Saint-Saënsa z towarzyszeniem orkiestry, zwłaszcza w interpretacji Scherza zasłużył na ogólne uznanie publiczności.

Członkowie orkiestry ofiarowali dyrygentowi swemu pałeczkę dyrektorską; hold ten złożony przez tych, którzy najlepiej odczuć na sobie mogli potęgę uszlachetniającego wpływu miłym być musiał dowodem uznania dla znakomitego dyrektora.

Institut muzyczny dobrze się zasłużył publiczności naszej, zapraszając Nikischa do objęcia batuty w koncertach symfonicznych. Dał on jej bowiem przez to nie tylko sposobność poznania najznakomitszego współczesnego kapelmistrza, lecz także możliwość przekonania się, że posiadamy znakomitą orkiestrę, która śmiało rywalizować może z kapelami zagranicznymi. Zdania tego był i sam dyrygent, skoro orkiestrze tej oddawał pochwałę w gorących słowach, w których wobec tego, cośmy sami słyszeli, domyślać się można było czegoś więcej, aniżeli zwykłej grzeczności ze strony znakomitego gościa.

W ubiegłym miesiącu odbył się również w sali resursy kupieckiej trzeci i ostatni w sezonie tym wieczór muzyki kameralnej. Na program jego złożyły się dwa kwartety smyczkowe, Brahmsa *a-moll* i Dworzaczka *es-dur* i sonata skrzypcowa *e-moll* Griega. Kwartet Brahmsa, aczkolwiek wykonany nader poprawnie przez p.p. Barcewicza, Stillera, Jakowskiego i Cinka

nie zdołał zainteresować słuchaczy. Większem już powodzeniem cieszył się drugi kwartet Dworzaczka, oparty na motywach czeskich, i tchnący oryginalnością zwłaszcza w dumce ujętej w formę ronda, i wykonany wzorowo przez wyżej wymienionych solistów. Palmę pierwszeństwa przyznało audytorium genialnym melodyom Griega, tchnącym niezwykłą siłą, temperamentem, i tą niezwykłą indywidualnością, która stanowić będzie zawsze ten nieprzeparty urok, z jakim pieśniarz norweżki działa na słuchaczy. W umiejętnem, w najdrobniejszych szczegółach opracowanem wykonaniu sonaty wzięli udział p.p. Barcewicz i Urstein. Prof. Urstein w ostatniej niemal chwili objął partycję fortepianową w zastępstwie niedysponowanego nagle prof. Michałowskiego i wzorowem wykonaniem jej udowodnił, że nie tylko jest znakomitym akompaniatorem, lecz i wybornym pianistą ensemblovym. Zebrana publiczność oklaskiwała gorąco obu wykonawców, dając tem do zrozumienia, że pragnęłaby piękny utwór ten słyszeć raz jeszcze.

Towarzystwo muzyczne rozpoczęło w r. b. drugie өwierówieku chludnego swego istnienia. Ze sprawozdania towarzystwa za rok 1896 dowiadujemy się, że dało ono w roku ubiegłym 34 wieczory i koncerty, na których popisywało się 64 solistów (39 krajowych i 25 zagranicznych). Chór męski „Lira“ liczy członków 48, mieszany 95. Sekcja orkiestrowa dała w ciągu roku tego 18 koncertów. Sekcja im. Moniuszki pracowała w dalszym ciągu nad wydawnictwem kompozycji Moniuszki. Członków liczyło w ciągu r. 1896 towarzystwo muzyczne 1,007, liczba ich jednak zredukowała się skutkiem nieplacenia składek znacznie, tak że z dn. 31 grudnia 1896 r. wynosiła tylko 895 członków. Działalność finansowa towarzystwa dała nadwyżkę dochodów w sumie 738 rs.

W dn. 7 marca odbyło się doroczne walne zebranie członków Towarzystwa muzycznego. Na zebraniu tem pewna grupa członków przedłożyła szereg postulatów, zdążających do podniesienia poziomu artystycznej działalności Towarzystwa. Po uchwaleniu niektórych z tych wniosków i przyjęciu sprawozdania kasowego, przystąpiono do dokonania wyborów na członków komitetu.

Z szeregu koncertów Towarzystwa muzycznego zaznaczyć należy wieczór z 10-go marca, w którym wzięli udział p. Katarzyna Jaczynowska i p. Arrigo Serato, młody skrzypek włoski. Talent p. Jaczynowskiej, zbyt jest dobrze znany publiczności naszej, żebyśmy potrzebowali się wdawać w bliższą jego ocenę.

Zaznaczamy więc tylko, że koncertantka wykonała z właściwą sobie poprawną techniką i doskonałością szczegółów utwory Schumanna, Chopina i Rubinsteina. W drugim solście wieczoru p. Serato poznaliśmy skrzypka obdarzonego niezwykłym temperamentem, jak przystało na prawdziwego południowca, który tym właśnie temperamentem, dającym mu łatwość pokonywania przeszkód technicznych, porywa słuchaczy. Po za tem grze jego, czystej wprawdzie i mile wpadającej w ucho w kantylenach, brak siły i ekspresji w wypowiedaniu szerokich frazów. Również i technika w wyższych zwłaszcza pozycjach nie zawsze mu dopisuje. P. Serato jest jeszcze młodym artystą, którego uczucie zdołało się skryształizować; gdy z czasem opanować zdoła ognisty swój temperament i dbać będzie więcej o subtelność w wykonaniu, aniżeli o zewnętrzne efekta, stanąć może w gronie wybitniejszych skrzypków współczesnych.

W pianistce, pannie Maryi Panthés poznaliśmy artystkę obdarzoną dużym temperamentem, nad którym chwilowo nawet zapanować nie jest w stanie, co zmusza ją do odpowiedniego naginania przewodniej myśli danej kompozycji.

Że tracić musi na tem wykonanie, o tem przekonanie mogliśmy się po wysłuchaniu odegranej przez artystkę Sonaty-fantazji (*cis-moll*) Beethovena. W interpretacji p. Panthés, arcydzieło Beethovena w pierwszej już zaraz części, *Andante sostenuto*, brzmiało oschle i bez wyrazu. Zatarł się cały głęboki liryzm i przejmujące marzyciel-

stwo, jakie tchnie z tej najcudowniejszej melodyi; w wykonaniu jej nie była ona taką, jak ją czuł sam kompozytor, nie brzmiała cichą boleścią i tęsknotą, lecz chwilami jakby rozpaczliwą jaką skargą zanesioną przed trybunał całego świata. Daleko korzystniej przedstawiła się artystka w fudze Bacha. Utwór ten, w którym ustąpić musiał ognisty jej temperament, wykonany był z rzetelną powagą i klasycznym spokojem, poprawnie w całości i dla ogółu słuchaczy interesująco.

Prócz wspomnianych już utworów wykonała panna Panthés, dwie etiudy i walc *as-dur* Chopina oraz fantazję z opery „Niema z Portici“ w układzie Liszta.

Na jednym z środowych wieczorów towarzystwa mieliśmy również sposobność poznać p. Józefa Wieniawskiego w trojakim charakterze, jako pianistę, dyrygenta i kompozytora. Jako pianista znany jest dobrze Wieniawski tak u nas, jak i zagranicą, zbytecznem byłoby więc chcieć rozpisywać się o grze zasłużonego artysty. Z kompozycji swoich przedstawił nam orkiestrą swą uwerturę *Wilhelm Orański*. W utworze tym, olśniewającym bogactwem szczegółów melodyjnością i wielką dozą ekspresji w ustępach dramatycznych, przedstawił nam kompozytor z znakomitą plastyką ważną chwilę dziejową w historii Niderlandów. Przejrzysta forma, tudzież barwna instrumentacja podnoszą wartość dzieła, które wykonane było pod batutą kompozytora z wielką starannością i z dobrem zrozumieniem efektów orkiestralnych.

Z kompozycjami swojemi zapoznał nas bliżej Wieniawski na własnym koncercie. Usłyszeliśmy więc tam trio, fantazję na 2 fortepiany i 3 duety wokalne. W utworach tych przebija się wybitna indywidualność kompozytora, brak w nich zwłaszcza w fantazji tego szablonu, tych wariacji, tak nieraz w najnowszym tego rodzaju kompozycjach nieuniknionych. Instrumentacja zdradza przytem w najdrobniejszych nawet szczegółach wytrawnego muzyka, przyzwyczajonego do zwalczania najrozmaitszych trudności. Utwory muzyczne Wieniawskiego wyszły w interpretacji tej miary artystów, co sam kompozytor, panna Jankowska oraz p.p. Barcewicz i Cink znakomicie. Kompozycje głosowe, trzy duety na sopran i alt do słów Goethego i Bodenstedta, odznaczają się wdzięczną, mile w ucho wpadającą melodią. Najbardziej podobala się „Pieśń majowa“, w której odczuwać się dało prawdziwe „technienie wiosny.“ Duety wykonane zostały poprawnie przez pannę Różę Rappacką i Viehweger

„Lutnia“, nasza cieszy się stalemi względami publiczności naszej, nie więc dziwnego, że koncert jej, który się odbył w marcu należał do bardziej udanych, zwłaszcza że się nań złożył urozmaicony program, obfitujący w nowości, jak *Bóg tak chce* Niedzielskiego i ludowa *Kalina*.

Na tem miejscu dzielimy się z czytelnikami naszymi pocieszającą wiadomością, że zasłużony założyciel *Lutni* powrócił już po dłuższej chorobie do zdrowia i objął klasę fortepianową w konserwatorium muzycznym, oraz dyrekcję chórów w Katedrze.

W operze mieliśmy występy artystów zagranicznych, mniej lub więcej już znanych naszej publiczności. Z debiutów wspomnieć wypada o długo odkładanym występie p. Stanisława Sienkiewicza, w „Strasnym dworze.“ P. Sienkiewicza mieliśmy sposobność słyszeć przed 2 laty na scenie teatru lwowskiego. Były to literalnie pierwsze jego kroki w karierze artystycznej, bo pierwszy debiut na scenie w operze, i to również w „Strasnym dworze.“ Publiczność lwowska zbyt dobrze znała partycję w znakomitej interpretacji ulubionego swego śpiewaka Mysziugi. Musiał więc artysta, który odważył się rywalizować z nim na tem polu, posiadać niezwykle warunki głosowe, ażeby mógł sprostać porywającemu liryzmowi Mysziugi.

Takim artystą okazał się p. Sienkiewicz i potrafił porwać zimną i uprzedzoną publiczność lwowską. Ale bo też śpiewakowi temu matka natura nie poskąpiła darów swych, które wró-

żyć mu się zdają piękną przyszłość artystyczną. P. Sienkiewicz ma głos czysto tenorowy, niezbyt wprawdzie silny, ale za to przyjemnie brzmiący tak w górnej, jak i dolnej skali, miękki pozwalający mu na wydobywanie efektów lirycznych; ma przytem piękną postawę, wyraziste rysy i temperament sceniczny. Z pięknych tych darów natury potrafi artysta jednak skutecznie skorzystać tylko wtedy, jeżeli pracować będzie sumiennie nad bogatym swoim, ale w stanie surowym jeszcze będącym materiałem głosowym. Opanowanie techniczne materiału tego, pozwoli mu na swobodną i jednakoową emisję głosu, która dziś zwłaszcza w dolnym rejestrze jest nieco wadliwa. Do pracy tej szczerze zachęcamy debiutanta; postępy jakie artysta w ciągu, tego czasu, w którym go po raz pierwszy słyszeliśmy zrobił, dowodzą, że rozumie on, że, ażeby zostać artystą, pracować nad sobą usilnie należy; pozostało jeszcze wiele do zrobienia, wiele pracy i trudu, ażeby stanąć na wyżynie prawdziwego artysty.

Opera nasza w ostatniej dobie urozmaiciła się wznowieniem przeszłego dzieła Gounod'a p. t. „Romeo i Julia“, dzięki gościnnym występom p. Klamrzyńskiej, utalentowanej śpiewaczki, niegdyś ozdoby naszej sceny, a dziś gwiazdy teatrów zagranicznych, oraz p. Fignera, wytrawnego tenora opery petersburskiej. Zresztą repertuar operowy jest dosyć monotony.

Setną rocznicę urodzin Schuberta uczciło towarzystwo muzyczne, poświęcając pieśniarzowi wiedeńskiemu jeden całkowity wieczór środowy. Zaproszono w tym celu słynną „specjalistkę“ Schubertowską, panią Żereboff, która wykonała świetnie szereg utworów znakomitego kompozytora.

Mieliśmy też w ostatnich czasach dwa koncerty młodego, nader utalentowanego skrzypka berlińskiego, p. Berbera, który zdobył sobie u nas powodzenie bardzo duże. Nic to dziwnego, gdyż młody artysta ma prawdziwy temperament, wiele polotu, fantazyj i uczucia, a technika już dzisiaj odznacza się znamionami pierwszorzędnej miary. Na przepysznych skrzypkach Stradivariusa p. Berber śpiewał i czarował istotnie. Odtworzenie koncertu Mendelssohna było spokojne, a wykwintnie z liryzmem ujmującym traktowane. Po mistrzowsku interpretował artysta koncert Wieniawskiego; fantazyje z „Carmeny“ Sarasatego i z „Fausta“ Wieniawskiego brzmiały imponująco. I temu niepospolitemu skrzypkowi towarzyszył na fortepianie dzielny akompaniator prof. Urstein, bez którego żaden wirtuoz na estradzie w Warszawie ukazać się już nie chce.

Orkiestra symfoniczna zakończyła tymczasowo swoje koncerty, które ma na jesieni rozpocząć powtórnie. Kto wie jednak, czy się to nie stanie daleko wcześniej. Towarzystwo łyżwiarskie bowiem na ostatnim walnem zgromadzeniu członków jednogłośnie uchwalilo zerwać umowę z p. Meyderem, który miał podczas lata koncertować w Dolinie Szwajcarskiej. Otwiera się tedy piękna dla orkiestry miejscowej perspektywa zajęcia na lato Doliny. Dzięki poparciu ludzi dobrej woli, do których w pierwszym rzędzie zaliczyć wypada znanego przemysłowca p. Posselta, orkiestra niewątpliwie utrzyma się na stanowisku prawdziwie artystycznym. Ostatnie koncerty orkiestry symfonicznej były nader ciekawe; wespół zaś biorących w nich udział solistów zwrócili na siebie uwagę dwie siostry Bonarówny, wiolinistka i pianistka, posiadające świeżość uczucia i talent. P. Janina Bonarówna, wiolinistka, wykazała w szeregu odegranych utworów wdzięk rzeczywisty, miękkość i słodycz tonu, — słowem wywarła jak najkorzystniejsze wrażenie. Akompaniowała jej z istotnem powodzeniem siostra.

W kronice niniejszej wspomnieć muszę o dwóch odczytach p. Walerego Gostomskiego o Ryszardzie Wagnerze. Nie był to sąd fachowego krytyka, ale sformułowanie wrażeń estetyka, którego Wagner wzrusza i entuzjazmuje.

Na zakończenie zapisuję smutną dla świata muzycznego wieść: d. 3 Kwietnia zmarł w Wiedniu największy współczesny kompozytor, Jan

Brahms. Urodzony d. 7 maja 1833 w Hamburgu, Brahms był uczniem Marxsena w Altonie; wczesnie bardzo zwrócił na kompozycję swoje uwagę Roberta Schumanna. Uniwersytety w Cambridge (1877) i Wrocławiu (1881) ofiarowały mu dyplomy doktora filozofii *honoris causa*. Twórczość Brahmsa była olbrzymia i wszechstronna, łącząca w sobie zarówno pierwiastki klasyczne, jak i romantyczne. Melodye swe opierał na motywach ludowych. W historii muzyki druga połowa XIX w. niewątpliwie nosić będzie imię genialnego mistrza.

A. Dobrowolski.

JULIUSZ ZEYER.

VERTUMNUS I POMONA.

(Dalszy ciąg).

O te piękne wspomnienia pierwszej młodości! Sylwanus pouczał mnie sam o istocie świata i rzeczy, odślaniał mi wielkie prawdy, uczył mię pojmować i kochać. Rozumiałem wkrótce drzewa, i ptaki, i zwierzęta, i żyłem z nimi wszystkimi w przyjaźni. Sylwanus uczył mnie czcić wielkie, przejasne bóstwa, nadewszystko boga Janusa, boginię Westę i Dyanę. Janusa, jako największego, pierwszego ze wszystkich, bo on jest bogiem początku i powstawania, klucznikiem niebios, które rano otwiera a wieczór zawiera, początkiem wszystkiego, pośrednikiem między ludźmi i bogami, tym który nosi modlitwy i prośby śmiertelników do uszu nieśmiertelnych. On jest źródłem bóstwa, środowiskiem istnienia wszego! I rzeki biorą z niego początek, i nasiona roślin, i zarodki ludzi. On jedyny z bogów patrzy zarówno za siebie w przeminione i przed siebie w przyszłe mające. Dla tego ma dwie twarze... O Westę opowiadał mi Sylwanus, że nie ma wyraźnej postaci, tak samo jak ogień, który jest jej poświęcony. Jako ogień, oczyszcza i ona wszystko, sama będąc czystością najwyższą. Dyanę wszakże pokazał mi raz Sylwanus samą, widziałem ją własnymi oczyma. Zaprowadził mnie do poświęconego za Tusculum gaju bukowego, ciągnącego się aż do jeziora Nemi, które jej zwierciadłem się zowie. Tam ujrzałem wielką władczynię nocy.

Cały gaj był jak srebrny od światła księżycowego, a jezioro, leżące na dnie głębokiej doliny, było modre i świecące, jak płomień lazuru. Niewypowiedziane słodka tęsknota leżała na całej krainie. Nagle zadrgnęły przez sen wszystkie drzewa, i zdało się, że gwiazdy rozbrły jasniej, bielej, i drgały jak liście tych naokół buków. Nocne ptaki krzyczały widmowo, psy i wilki zawyły. Wielka, biała, dostojna kroczyła bogini nocy. Była się w morzu kapała i płynęła teraz, cicho jak obłok, przez gaj. Zaplaskało w dole jezioro, a gdy obraz jej na powierzchni jego padł, zadrgnęło do głębi. zakolysało się, zaszemrało. Nie oddychałem. Czar, płynący ze źrenic wielkiej bogini, zmienił mię w kamień. Usta moje szeptały modlitwę. Wyciepsów i wilków zanikało w dali, obraz bogini znikł z powierzchni jeziora, zwróciła kroki z powrotem do swej świątyni w Arycyi... Znikła, i gwiazdy pobladały, drzewa poszarzały i zasnęły głębiej. Tylko nocne ptaństwo szlochało widmowo i naruszało ciszę, głęboką jak otchłań... A nad wzgórzami, lasami i drzewami nieciła się słabo a różano jutrzeńka...

Tak uczyłem się tedy bogi znać. Ale czas swój wolno mi było w bujnym trawie weselu. Biegałem w zawody z wiatrami po równinie laticyńskiej, kapałem się nietylko w rzekach i jeziorach, lecz i w obłokach, gdy miesiąc w nich swe delikatne, jak z konchych perłowej, tworzył tęcze. Rzuciałem się w wodospady i kaskady u Tyburu, dawałem się nosić potokom górskim niby dzikim

żrebcem, a odpoczywałem w głębokich jaskiniach, w których ozywało się echo wielkiego głosu wieszczącej Albunei. Rad zachodziłem też niekiedy między ludzi. Znałem ostatecznie i miasta ich, miasta Sabinów i Wolsków, Rutulów i Latynów. Chętniej wszakże widywałem ludzi zdala od murów miejskich, błądziłem po gajach, gdy w nich bogom przynosili objaty, lub po ogrodach, gdy tam koło szcepów chodzili. Łakomiłem się tam chętnie na miód z ulów, pył kwiatny, owoce, i spijałem wonne rosy z kielichów lilij. Sylwanus uczył mię, na mą prośbę, koło drzew chodzić, i to nietylko leśnych, lecz i owoce niosących, i wkrótce stałem się zdolniejszym i doświadczeńszym w tej sztuce, niż byli wszyscy śmiertelnicy, których znałem ze starych ogrodów i winnic po całym Latium.

Tak spłynął mi czas mego chłopięstwa, i przyszła doba, gdy słodkie a tajemnicze, nieokreślne a trwożne tęsknoty ozywać się jęły w mem sercu. I w dobie owej, gdy złoty puszczek zaślął nad memi ustami, zjawiała mi się nagle ta, która duszę moją przejęła miłością i mglistym tęsknotom mym dała nagle treść jasną, wyraźną, określoną. Była to Pomona. Czarowna i skromna jak sama Dyana, dumna jak ona, zjawiała mi się w lesie, u źródelka, gdzie czerpała wodę, aby ugasić pragnienie.

Nie miała naczyń, brała wodę wprost w białe dłonie swych delikatnych rąk, złęczone w najpiękniejszą, do muszli podobną czarę, a pochylona nad źródelkiem zdała się młodą wierzbiną, ugiętą przez wiatr i kapiącą gałęzie w wodach. Widząc ją tak w pełnym blasku nieprzeczuwanej dotąd krasy, świecącej tak białą w zmroku zielonym, zadrgałem od głowy do stóp i jak ogłuszony stałem nieruchomie w krzewów gęstwinie. Zdawało mi się, że nogi wrosły mi w ziemię, a drzałem całym ciałem z bojaźni. Ja, który z łatwością dusiłem jedną ręką wilka, gdy napadł stadko sarn w borze, czulem niewytłomaczony strach przed czarownym zjawiskiem tego słabego dziewczęcia, pijącego spokojnie u źródelka pod szumiącymi drzewami. Nie byłbym się odważył jeden krok zrobić. Wzrok mój tkwił na niej z niemem ubóstwieniem, czoło moje chyliło się w pokorze i nieśmiało wznosiłem ku niej ręce, jak w modlitwie do bogów. Cienie i światła przebiegały przez czarowną jej twarz, przez ciemne jej, kwieciami przeplecione włosy, przez białą, wolną jej szatę, ona sama wszakże znieruchomiła nagle podobnie jak ja; zdumiona, osłupiała, zmieszana, z marzącym na ustach uśmiechem zapatrzyła się uparcie w gładką toń krynicy. Co tam ujrzała? Zjawilo-ż się w tej wodzie bóstwo jakie? Snaćż uśmiechnęła się z modrej tej głębi wodna panna, opiekunka tego słodko pluskającego źródła? Nie miałem wiele czasu do podobnych rozmyślań, bo nagle zagrzmiało wielkie, straszne wołanie głębokiego głosu w trzęsącym się lesie, i dziewczę trwożnie porwało się i wpatrzyło z przestraszem w stronę, z kąd zgiełk ten przychodził. Wiedziałem, że to Sylwanus rad takie czyni popłochy, acz nikomu nic złego nie robi. Chciałem z krzaków wystąpić i dziewczę tem objaśnieniem uspokoić, ale zaraz nie znalazłem w sobie dość odwagi, a po chwili stał oto już przed nami Sylwanus sam. Widząc dobry uśmiech starca, dziewczę pozbyło się bojaźni i skinęło głową na pozdrowienie. Ale w źrenicach Sylwana gorzał ogień, który mię zaniepokoił. Oburzałem się na wymowę tych młodzieńczych, pragnienia pełnych oczu. Sylwanus przystąpił do dziewczęcia i chciał ją wziąć za rękę. Cofnęła się o krok, uśmiech jej zgasł, popatrzała surowo i dumnie na starca.

— Odsuń się, — rzekła — czemu przerywasz mi modlitwę? Czemu przerywasz mi ofiarę? Chcę uwieńczyć kwiatami brzeg tego źródelka i pień starego świerku, który je ocienia.

— Modliłaś się do źródelka? Tylko do źródelka, czy też raczej do tego, co ci jasne to oko wodne objawiło? — zaśmiał się Sylwanus.

Nie zrozumiałem, co chciał przez to powiedzieć, ale dziewczyna spuściła oczy, i rumieniec twarzy jej przeleciał. Skinęła potem ręką i rzekła krótko: — Odejdź.

— A gdybym nie odszedł? Gdybym ci wał w potężne ramiona i poniósł w miłujący twą krasą i żądzą rozogniony wstąpiła.
— Zrób krok, a zobaczysz! — rzekła z chmurną gwałtownością i wyjęła z szat swych błyszczący nóż ogrodniczy.

Sylwanus rozśmieiał się grzmiąco.

— Poznaj mię, szalona! — rzekł, i narósł w górę jak dąb, z oczu jego padały gwiazdy, a mocny wicher wiał mu z ust, tak że drzewa aż do ziemi się uginały. Zwierzęta zbiegły się ze wszystkich stron i pelzały mu pokornie u stóp, a ptaki zakrażyły mu wokół skroni ze śpiewem radosnym. Pomona, widząc, że to bóg, wstrzymała ze czcią oddech, pokłoniła się i zaszeptala: „Bądź miłościw!”

Sylwanus uśmiechnął się i był znowu starcem, jako wprzód, ale wyraz jego oczów nie zmienił się, i niepokój mój rósł.

— Bądź moją — rzekł. — Nie obawiaj się mej mocy, nie obawiaj się gwałtu żadnego. Ale bądź moją i żyj ze mną w lesie.

— Nie, — odpowiedziała krótko.

— Czemu się wzdragasz? — spytał.

Spojrzała nań spokojnie i rzekła:

— Chylę się przed tobą, bo jesteś bóstwem. We zbożnej mam cię cześć, jako ten święty gaj. Ale to wszystko. Nie będę bez miłości niczyją, a ciebie miłować mi niepodobna.

— Dla tego żem stary? Że wydaję ci się szkaradnym? — rzekł Sylwanus.

Uśmiechnęła się słodko i odpowiedziała nie wprost:

— Ktoby miłość moją pozyskać chciał, ten musi być piękny jak słońce, młode słońce powstające rano z mglistych oparów i przez świat cały radośnie witane!

I oczy jej w marzącym upojeniu spoglądały ku źródelku, od którego się była oddaliła, spłoszona napaścią Sylwana.

— Powinien bym się gniewać, — rzekł bóg — ale dla dumnej twej otwartości przebaczam ci. Idź w pokój! Gdy poznasz sama, co to miłość, jaka jej moc, zrozumiesz, jak wielkim był Sylwanus, gdy cię z rąk puścił i stłumił w sobie burzę namiętności.

Dopowiedział i zniknął. Za chwilę wszakże grzmiał znów po lesie groźny głos jego, i dziewczę przejął teraz strach tak niezmierny, że pierzchnęło jako lania poszczwana, szukająca zbawienia w szalonej ucieczce.

Wziął na się postać przelotnego cienia i pędził za nią jak wiatr. Gdy wydostała się z tego przerażającego ją boru, siadła na chwilę na murawie, aby wrócić do sił i nabrać oddechu. Potem pośpieszyła dalej, szybko wprawdzie, ale nie biegnąc już tak szalenie. Jako kłębek zwiedłych liści, gnany wiatrem, trzymałem się wciąż w pewnej za nią odległości. Szła przez łąki i pola, i przyszliśmy nareszcie do pięknej doliny, przez którą potok płynął, gdzie przeświecające w słońcu kępy drzew na stokach rosły, gdzie niepoliczona mnogość kwiatów woniała i gdzie z wysoka, z błękitu skowronki jasne swe pieśni jak pereł kaskady na dół sypały. Tam ujrzałem wysokie ogrodzenie z nawalonych głazów i żywopłot z głogów i cierni. Otaczały one wielki ogród, którego stare, piękne szczepy, osypane białem lub różowawem kwieciami, przez kamienną ścianę wyglądały. Dziewczę było u siebie. Pośpieszyło do wysokich wrót, nabitych wielkimi, brązowemi ówiekami, wsunęło się do ogrodu, i słyszałem, jak zaciągało ciężkie zasuwę. Nie poszedłem dalej. Dębowe te drzewa były owieszane kwitnącemi gałązkami głogu na byś

ini zawiasów, Karny, która, co otwarte, zakłama, co zamknięte, otwiera i mocą głogu zleciary od progu odgania. W tem okamgnieniu dawało mi się, że popełniłbym coś złego, gdybym się starał wśliznąć do domu, gdzie to dziewczę spoczęło z poczuciem bezpieczeństwa w blasku swej czystości dziewiczej. Siadłem tedy na trawie i długo zostałem tak bez ruchu. Usłyszawszy wszakże kroki, zbliżające się wewnątrz do wrót, przybrałem postać zgrzybiałego, znużonego, poczciwego starca. Zdawało mi się, że tak najłatwiej uniknę podejrzeń.

Wyszła kobieta niepiękna i niemłoda. Niosła lśniącą-białą, cienką tkaninę, mokrą jeszcze, zapewne aby ją rozwiesić do bielienia na słońcu. Wdałem się z nią w rozmowę.

— Nigdy nie widziałem świeższego i cieńszego płótna — rzekłem — nad to, które niesiesz, a pochodzę z ziemi Wolsków, z Ardei, przystani, z której odważni żeglarze puszczają się przez auzońskie prądy i wzburzone fale etruskiego morza, aż do ostrowów nieznanych, aby z tamtąd, z niebezpieczeństwem życia, prawdziwe cuda sztuki tkackiej przywozić.

— Jest to praca mych rąk — rzekła z dumą. — Hersylia jest moje imię, jeśli chcesz wiedzieć, a żadna pani nie ma sługi wierniejszej, niż Pomona, pani moja i tego domu. Bądź pozdrowion, starcze. Co cię tu sprowadza, i jakie jest twe imię?

Tak zaczęła się nasza rozmowa i wkrótce dowiedziałem się od gadatliwej Hersylii wszystkiego, co wiedzieć pragnąłem. Jako ja, była i Pomona nieśmiertelnego pochodzenia. Matką jej była leśna bogini, mieszkająca w omszonym buku na słonecznym stoku pięknej góry Sorakte. Tam zablakał się jednego razu ojciec Pomony i, ujrawszy czarowne zjawisko leśne, siedzące na buku, oszalał z miłości.

Długo mieszkał z nią potem w jaskini na zboczu góry, z kąk daleki otwiera się widok na modrą, rozległą, pagórkowatą krajinę i na bezbrzeżne za nią równie. W cieniu jaskini spiewał jasny źródło, a dokoła szumiały drzewa. Tam narodziła się Pomona. Ale po jej urodzeniu znikła jej matka, daremnie wołał i szukał jej kochanek w tęsknocie i bólu. Nie kochała go już. Mawiał z płaczem później, że cała jego miłość została odrzucona, jak drogi klejnot, zdeptana w prochu, jak olej święty, wylany na wyschłą ziemię! Po długim, daremnym szukaniu, zabrał dziecię i, niosąc je na plecach, wrócił do starych swych rodziców. Ci od pięciu już pokoleń mieli w posiadaniu ten stary ogród, w którym Pomona odtąd żyła. Od ojca uczyła się chodzić koło szczepów i łóz winnych, i jedyna to była jej radość i namiętność. Nie wychodziła prawie z ogrodu i wyrosła w nim, jak cudnie piękny kwiat. Przechadzała się tam pod drzewami, owieszonemi złotym owocem. Miłowała drzewa bardziej, niż ludzi. Teraz żyła zupełnie sama, bo ojciec jej i rodzice jego zmarli przed laty. Hersylia, która z rodziną Pomony niejako się zrosła, bo prarodzice jej służyli już u właścicieli tego ogrodu, była jedyną jej towarzyszką. Zajmowała się wszystkiemi robotami domowemi. Wszystkiego tego dowiedziałem się teraz od niej samej najszczegółowiej. Gdy umilkła, znużona długim opowiadaniem, rzekłem:

— Trzykroć szczęśliwy mąż, który kiedyś Pomonę twoją za żonę pojmie. Błogosławię jej. Niech bogi też ją błogosławia.

— Dzięki za twe dobre życzenia — odparła Hersylia, — ale Pomona gardzi miłością. Pamięta, co ojciec jej wycierpiał, bo wie, że nigdy

z bólu swego się nie wyleczył. Potrzykroć wracał na skalne zbocza góry Sorakte, szukając tej, która go zapomniała, i zmarł, lejąc łzy, że tak gorzka bywa dola prawdziwej miłości i że najwierniej miłujący tak rzadko spotykają się z wzajemnem Kochaniem... Jestem też tego przekonania i dlatego troskliwie zamykam wrota ogrodu, chcąc Pomonę od nieszczęścia uchronić. Piękna jest i poszukiwana, acz żyje w ukryciu. A szkodników nie brak! Jak często włóczyli się już faunowie koło murów naszych! Znajdowałam w piasku ślady ich nóg. Ale zażegnałam dotąd każde niebezpieczeństwo. Przeszłej nocy połamały jakieś swawolne duchy silną wichurą wysoki nasz płot po jednej stronie ogrodu. Jeśli wiesz kogo, ktoby szkodę umiał naprawić, poszlij mi go, dobry starcze. Nie pójdzie od nas z próżnemi rękoma, wierzaj. Ale teraz pora zabrać się do roboty.

Temi słowy zakończyła Hersylia i odeszła.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z bieżącej chwili.

— W Petersburgu ma się na jesieni b. r. odbyć zjazd dziennikarzy. Na zjazd ten mają otrzymać zaproszenia dziennikarze polscy, fińscy i niemieccy z prowincyi nadbaltyckich.

— Nad Nową ma powstać klub atletek, kandydatka obowiązana będzie dźwignąć 80 funtów, że jednak między przedstawicielkami płeć słabiej nie wiele się znajdzie odpowiadających temu warunkowi, projektowane jest przyjmowanie do klubu i takich, które drogą ćwiczeń gimnastycznych dojsz mogą do podniesienia takiego ciężaru.

— Sympatyczni amatorowie warszawscy, znani z występów na cele dobroczynne, zamierzają w dniu 10 Kwietnia wykonać w sali muzeum przemysłu i rolnictwa operę Moniuszki: „Beata.”

— W d. 3 kwietnia b. r. upływa lat pięćdziesiąt od śmierci Juliusza Słowackiego, pochowanego w Paryżu na cmentarzu Montmartre. W Antwerpii powstał projekt przewiezienia prochów poety do ojczyzny: projekt to godny najszybszego urzeczywistnienia.

— „Kuryer Poranny,” wychodzący w Warszawie, obchodził w d. 29 marca dwudziestą rocznicę swego istnienia. Pismo to od lat dwudziestu zostaje pod redakcją Feliksa Fryzego.

— Towarzystwo ratunkowe do niesienia pomocy w nagłych wypadkach choroby na ulicach miasta zostało przed kilku dniami zatwierdzone.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu” dołącza się: arkusz 10 powieści p. t. *Taqisara*, przez autorke powieści *Książę Saracinesco* (F. Marion Crawford). Przekład z angielskiego.

Treść: Z słonecznych błysków, przez Zygmunta R.—Miserere Gregoria Allegri. Obrazek na tle historycznem.—Odczyty. Przez Wł. Bukowińskiego.—Na łasce. Powieść, przez M. N. Sas-Junoszę (dalszy ciąg).—Ruch muzyczny, przez A. Dobrowolskiego.—Juliusz Zeyer. Vertumnus i Pomona (dalszy ciąg).—Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: *Taqisara*, powieść przez autorke powieści *Książę Saracinesco* (F. Marion Crawford). Arkusz 10. Przekład z angielskiego. Przegląd mód. 16 wzorów i robót z opisem.—Sekreta gospodarskie.—Dyspozycje obiadu.